

KSIĄŻKA AUTORA „HIPOTEZY ZŁA”

ZAKLINACZ

DONATO CARRISI



Zakład karny w [REDAKTOWANE]
Okręg penitencjarny nr 45

Raport Naczelnika Więzienia
dr. Alphonse'a Bérengera
z dnia 23 listopada br.

Do rozpatrzenia przez
Biuro Prokuratora Generalnego
J. B. Marina

Przedmiot: POUFNE

Szanowny Panie Prokuratorze,

pozwalam sobie napisać do Pana, by zasygnalizować
dziwne zachowanie jednego z osadzonych.

Osadzony, o którym mowa, zarejestrowany jest pod
numerem RK-357/9. Określamy go już wyłącznie w ten
sposób z uwagi na to, że aż do tej chwili odmawia
podania swoich danych personalnych.

Został zatrzymany przez policję 22 października.
Kręcił się nocą, samotnie i bez ubrania, na jednej
z wiejskich dróg w regionie [REDAKTOWANE].

Porównanie odcisków jego palców z liniami papilarnymi
z policyjnych baz danych wykluczyło jego udział we
wcześniejszych niewyjaśnionych przestępstwach. Mimo
to za uporczywe uchylanie się od podania personaliów,
również przed obliczem sędziego, został skazany na
karę czterech miesięcy i osiemnastu dni pozbawienia
wolności.

Od chwili umieszczenia w zakładzie karnym osadzony
RK-357/9 nie okazał nigdy niezdyscyplinowania i przez
cały czas przestrzegał regulaminu więziennego.
Ponadto osobnik ten jest samotnikiem i nie przejawia
skłonności do nawiązywania kontaktów z innymi osobami.

Być może także z tego powodu nikt nie zwrócił uwagi na jego wyjątkowe zachowanie, dostrzeżone dopiero ostatnio przez jednego z naszych strażników. Więzień RK-357/9 czyści i przeciera kawałkiem filcu wszystkie przedmioty, których dotyka, zbiera wszystkie włosy, które codziennie traci, czyści do połysku naczynia, sztucce i WC po każdym użyciu. Mamy więc do czynienia z maniakiem na punkcie czystości lub, co jest dużo bardziej prawdopodobne, z osobnikiem, który za wszelką cenę stara się uniknąć pozostawienia swojego „materiału organicznego”.

W związku z tym mamy poważne podejrzenie, iż więzień RK-357/9 popełnił szczególnie ciężkie przestępstwo i chce uniemożliwić nam poznanie jego tożsamości na podstawie DNA.

Do dnia dzisiejszego wyżej wymieniony dzielił celę z innym więźniem, co z pewnością pomagało mu usuwać własne ślady biologiczne. Informuję Pana jednak, że uniemożliwiliśmy mu przebywanie z innymi osobami, umieszczając go w odosobnieniu.

O powyższym powiadamiam Pana Biuro, by wszczęto odpowiednie dochodzenie, a jeśli to konieczne, zwrócono się do Sądu o wydanie w trybie pilnym postanowienia, które zmusi osadzonego RK-357/9 do poddania się badaniu DNA.

W związku z zasygnalizowaną kwestią należy też wziąć pod uwagę fakt, iż osobnik ten zakończy odsiadanie kary dokładnie za 109 dni (12 marca).

Z poważaniem,

naczelnik
dr Alphonse Bérenger

1

*Miejsce w pobliżu W.
5 lutego*

Unosiła go wielka ćma poruszająca się swobodnie w ciemnościach nocy. Jej rozsiewające kurz skrzydła wibrowały, omijając zasadzki górskich szczytów, nieruchomych niczym olbrzymy śpiące ramię przy ramieniu.

W górze aksamitne niebo. Niżej las. Bardzo gęsty.

Pilot odwrócił się do pasażera i wskazał widniejącą przed nimi rozległą białą plamę, podobną świetlistej gardzieli wulkanu.

Helikopter skręcił w jej kierunku.

Siedem minut później wylądowali na poboczu drogi publicznej. Była zamknięta, a w okolicy ustawiono policyjne blokady. Mężczyzna w granatowym garniturze, z trudem przytrzymując powiewający krawat, podszedł aż pod łopaty wirnika, żeby przywitać pasażera.

— Witam, doktorze, czekaliśmy na pana! — odezwał się, przekrzykując ryk maszyny.

Goran Gavila nie odpowiedział.

Agent do zadań specjalnych Stern dodał:

— Proszę tędy, wyjaśnię panu wszystko po drodze.

Ruszyli krętą ścieżką, zostawiając za sobą huczący śmigłowiec, który wzbijał się w górę, by po chwili rozpląnąć się na atramentowym niebie.

Mgła osiadała niczym całun, odsłaniając zarysy wzgórz. Wszę-

dzie unosił się zapach lasu, złagodzony przez nocną wilgoć, która pełzła po ubraniach, muskając chłodnym dotykiem skórę.

— Sprawa nie była prosta, zapewniam pana. Musi pan to zobaczyć na własne oczy.

Funkcjonariusz policji Stern wyprzedzał Gorana o kilka kroków, rozgarniając krzaki, i mówił, nie patrząc na niego:

— Zaczęło się dziś rano koło jedenastej. Dwaj chłopcy z psem idą ścieżką. Wchodzą do lasu, wspinają się na wzgórze i docierają na polanę. Pies to nowofundlandczyk, wie pan, z tych, co lubią grzebać w ziemi... Zwierzę zaczyna szaleć, bo coś wywęszyło. Wygrzebuje dołek. I pokazuje się pierwsza.

Goran starał się dotrzymać mu kroku, gdy zagłębiali się w coraz gęstsze zarośla porastające zbocze, z każdym ich krokiem bardziej strome. Zauważył, że spodnie Sterna mają nieduże rozdarcie na wysokości kolan, znak, że tej nocy przebył ten szlak kilka razy.

— Oczywiście chłopcy natychmiast uciekają i zawiadamiają miejscową policję — ciągnie agent. — Ci zjawiają się, badają teren, wszystkie nierówności, szukają śladów. Potem któremuś przychodzi na myśl pokopać jeszcze, żeby sprawdzić, czy jest coś więcej... i pojawia się druga! W tym momencie wzywają nas. Jesteśmy tu już od piętnastej. Nie wiemy dotąd, ile jeszcze tego jest pod ziemią. O, to tutaj...

Przed nimi otworzyła się mała polana oświetlona reflektorami — świetlisty wylot wulkanu. Zapachy lasu nagle znikły i obu uderzył zapach nie do pomylenia z żadnym innym. Goran uniósł głowę, żeby lepiej go poczuć.

— Kwas fenolowy — mruknął do siebie.

I zobaczył.

Krąg małych dołków. I ze trzydziestu ludzi w białych kombinezonach kopiących w nieziemskim świetle halogenów, zaopatrzonych w małe łopatki i pędzle do usuwania ziemi. Kilku przesiewało trawę, inni fotografowali i starannie katalogowali wszystkie znaleziska. Ich ruchy były precyzyjne, odmierzone, hipnotyczne, otoczone sakralną ciszą, którą od czasu do czasu przerywał tylko cichy trzask fleszów.

Goran dostrzegł agentów specjalnych Sarah Rose i Klausa Borisa. Był też inspektor Roche, szef zespołu śledczego, który go zauważył i od razu ruszył wielkimi krokami w jego stronę. Zanim zdążył otworzyć usta, doktor uprzedził go pytaniem:

— Ile?

— Pięć. Wszystkie o długości pięćdziesięciu centymetrów, szerokości dwudziestu i głębokości także pięćdziesięciu... Co twoim zdaniem można zakopać w takich dołkach?

We wszystkich to samo. Taki sam obiekt.

Kryminolog patrzył na niego wyczekująco.

— Lewą rękę — odpowiedział Roche.

Goran spojrział na ludzi w białych kombinezonach, którzy pracowali na tym absurdalnym cmentarzu. Ziemia oddawała jedynie szczątki w stanie rozkładu, ale źródło tego zła należało umiejscowić wcześniej, przed tą pełną niepewności, nierealną chwilą.

— To one? — zapytał Goran, ale tym razem znał odpowiedź.

— Z badania białka C-reaktywnego wynika, że należą do osób płci żeńskiej, rasy białej, w wieku od dziewięciu do trzynastu lat...

Dziewczynki.

Roche wypowiedział te słowa bezbarwnym tonem. Wyrzucił je niczym ślinę, która po zbyt długim trzymaniu w ustach robi się gorzka.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Zacząło się dwadzieścia pięć dni temu, od wzmianki w prowincjonalnej gazecie o zniknięciu młodej uczennicy college'u dla dzieci z zamożnych rodzin. Wszyscy przypuszczali, że to ucieczka. Dwunastoletnia bohaterka miała na imię Debby. Jej koleżanki zapamiętały, że widziały ją, jak wychodziła po zakończeniu lekcji. W żeńskim internacie zauważono jej nieobecność dopiero podczas wieczornego apelu. Sprawa pod każdym względem przypominała jedno z tych wydarzeń, które kwitowane są krótkim artykułikiem na trzeciej stronie, po czym zainteresowanie słabnie w oczekiwaniu na przewidywane szczęśliwe zakończenie.

Ale potem znikła Anneke.

Doszło do tego w małej osadzie, składającej się z drewnianych domków i białego kościoła. Anneke miała dziesięć lat. Z początku myślano, że może zabłądziła w lesie, po którym często jeździła na rowerze górskim. W poszukiwaniach uczestniczyli wszyscy mieszkańcy. Bez skutku.

Zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje, wydarzyło się to znowu.

Trzecia dziewczynka miała na imię Sabine i była najmłodsza ze wszystkich. Siedem lat. Stało się to w mieście, w sobotni wieczór. Rodzice zabrali ją do wesołego miasteczka, jak wiele innych rodzin mających dzieci. Tam wsiadła na konika karuzeli, która była zapełniona dziećmi. Jej matka patrzyła, jak mija ją po raz pierwszy, i pomachała jej. Potem pokazała się po raz drugi i matka pomachała jej znowu. Gdy konik wrócił po raz trzeci, Sabine nie było.

Dopiero wtedy ktoś pomyślał, że zniknięcie trzech dziewczynek w ciągu zaledwie trzech dni jest dziwne.

Podjęto poszukiwania na szeroką skalę. Ukazały się apele w telewizji. Od razu zaczęto mówić o jednym lub kilku maniakach, może nawet o bandzie. W rzeczywistości brakowało elementów, które pozwoliłyby sformułować dokładniejszą hipotezę śledczą. Policja udostępniła linię telefoniczną przeznaczoną do zbierania informacji, także od anonimowych informatorów. Były setki sygnałów, na sprawdzenie wszystkich potrzeba byłoby miesięcy. Ale żadnego śladu dziewczynek. Co więcej, ponieważ zaginęły w różnych miejscach, lokalne posterunki policji nie mogły się porozumieć co do jurysdykcji.

Dopiero wtedy działania podjęła jednostka śledcza badająca poważne zbrodnie, którą kierował inspektor Roche. Przypadki zaginięć nie wchodziły w zakres jej kompetencji, ale narastająca psychoza sprawiła, że zrobiono wyjątek.

Roche i jego ludzie zajmowali się już sprawą, gdy zniknęła dziewczynka numer cztery.

Melissa była najstarsza, miała trzynaście lat. Jak w przypadku

wszystkich dziewczynek w jej wieku także jej rodzice zakazali wychodzenia wieczorem, obawiając się, że mogłaby paść ofiarą maniaka, który terroryzuje kraj. Zakaz ten zbiegł się jednak z dniem jej urodzin, a Melissa miała na ten wieczór inne plany. Wraz z koleżankami zaplanowała wymknięcie się z domu, żeby świętować urodziny w kręgielni. Zjawiły się tam wszystkie. Nie pokazała się tylko Melissa.

Rozpoczęło się polowanie na potwora, często chaotyczne i improwizowane. Do działania ruszyli sąsiedzi, gotowi także dokonać samosądu. Policja ustawiła blokady na drogach. Zaczęto przeprowadzać dokładniejsze kontrole osobników skazanych w przeszłości albo podejrzanych o przestępstwa przeciwko nieletnim. Rodzice nie mieli odwagi pozwalać dzieciom na wyjście z domu nawet do szkoły. Wiele szkół zamknięto z powodu małej frekwencji. Ludzie opuszczali domy tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. W pewnych godzinach małe i duże miasta pustoszały.

Przez kilka dni nie było doniesień o nowych zniknięciach. Wielu zaczęło myśleć, że podjęte środki i zabezpieczenia odniosły skutek, pozbawiając maniaka odwagi. Mylili się.

Porwanie piątej dziewczynki było najbardziej sensacyjne.

Miała na imię Caroline i jedenaście lat. Została porwana z własnego łóżka, gdy spała w pokoju sąsiadującym z sypialnią rodziców, którzy niczego nie zauważyli.

Pięć dziewczynek uprowadzonych w ciągu tygodnia. A potem siedemnaście dni spokoju.

Aż do tej chwili.

Aż do tych pięciu rąk zakopanych w ziemi.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Goran przeniósł wzrok na krąg małych dołków. Makabryczne kółko pięciu rąk. Wydawało się, że słyhać dziecięcą wyliczankę recytowaną przez ich właścicielki.

— Od tej chwili jest jasne, że nie chodzi o zwykłe zaginięcia — mówił Roche, ruchem ręki przywołując do siebie wszystkich na krótką odprawę.

Był to stały zwyczaj. Rosa, Boris i Stern podeszli i stanęli, ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami założonymi z tyłu.

— Myślę o osobniku, który ściągnął nas dzisiejszej nocy w to miejsce — zaczął Roche. — Który przewidział, że to wszystko się wydarzy. Jesteśmy tu, ponieważ on tego chciał, ponieważ on tak to sobie wyobraził. I zorganizował to wszystko dla nas. Bo to widowisko jest dla nas, moi państwo. Tylko dla nas. Przygotował je starannie, zawczasu wyczuwając smak tej chwili, naszą reakcję. Żeby nas zadziwić. Żeby nam zakomunikować, że jest wielki i potężny.

Słuchający go pokiwali głowami.

Kimkolwiek jest sprawca, działa bez przeszkód.

Roche, który już dość dawno temu włączył do zespołu Gaviłę jako pełnoprawnego członka, zauważył, że kryminolog jest roztargniony, wpatruje się w coś, jakby próbował sformułować jakąś myśl.

— A co ty o tym myślisz, doktorze?

Goran przerwał milczenie, wypowiadając tylko jedno słowo:

— Ptaki.

W pierwszej chwili wydawało się, że nikt nie wie, o co mu chodzi.

— Nie zwróciłem na nie uwagi po przyjeździe i zrobiłem to dopiero teraz. To dziwne. Posłuchajcie...

Z ciemnego lasu dobiegały głosy tysięcy ptaków.

— Śpiewają — zdumiała się Rosa.

Goran odwrócił się do niej i pokiwał głową.

— To reflektory... Wzięły te światła za początek świtu. I śpiewają — stwierdził Boris.

— Wydaje wam się, że jest w tym jakiś sens? — podjął Goran, tym razem patrząc na nich. — A jednak jest... Pięć rąk zakopanych w ziemi. Członki. Bez ciał. Można by pomyśleć, że brak w tym wszystkim prawdziwego okrucieństwa. Bez ciał nie ma twarzy. Bez twarzy nie ma konkretnych jednostek, nie ma osób. Musimy zadać sobie tylko pytanie: „Gdzie są te dziewczynki?”. Bo tu ich nie ma. Nie możemy spojrzeć im w oczy. Nie

możemy stwierdzić, że są takie jak my. Ponieważ w istocie nie ma w tym niczego ludzkiego. Są tylko członki... Żadnego współczucia. On nam na nie nie pozwolił. Pozostawił nam tylko strach. Nie można poczuć litości dla tych małych ofiar. Chce nam tylko dać do zrozumienia, że nie żyją... Widzicie w tym jakiś sens? Tysiące ptaków w ciemnościach, zmuszonych do krzyku wokół światła, które nie miało prawa się pojawić. My ich nie widzimy, ale one nas obserwują — tysiące ptaków. Czym one są? Zwyczajnym zjawiskiem. Ale także ofiarami iluzji. A trzeba uważnie przyglądać się iluzjonistom: czasami zło nas okłamuje, przybierając kształt najprostszych rzeczy.

Milczenie. Po raz kolejny kryminolog uchwycił drobne, ale doniosłe znaczenie symboliczne. To, czego inni często nie potrafili dostrzec albo — jak w tym przypadku — usłyszeć. Szczegółów, zarysów, odcieni. Delikatnej otoczki rzeczy, mrocznej aury, w której kryje się zło.

Każdy morderca ma „plan”, precyzyjny szablon, który dostarcza mu satysfakcji, napawa dumą. Najtrudniejszym zadaniem jest zrozumieć tę jego wizję. Właśnie dlatego znalazł się tu Goran. Dlatego został wezwany. Aby odkrył to niewytłumaczalne zło, wykorzystując swoją wiedzę.

W tym momencie zbliżył się do nich jeden z pracowników technicznych w białym kombinezonie i z zakłopotaną miną zwrócił się do inspektora:

— Panie Roche, mamy pewien kłopot... tych rąk jest sześć.

2

Nauczyciel muzyki przemówił.

Ale nie to ją uderzyło. I to nie po raz pierwszy. Wielu osobników mieszkających samotnie wypowiada na głos swoje myśli, gdy przebywają w czterech ścianach własnego mieszkania. Zdarzało się, że także Mila mówiła do siebie, gdy była w domu.

Nie. Nowość polegała na czym innym. Wynagradzała cały tydzień skrytego wyczekiwania spędzony w zimnym aucie, które zaparkowała naprzeciwko brązowego domu, aby śledzić przez małą lornetkę jego wnętrze, to, jak przemieszcza się ten człowiek około czterdziestki, otyły i o bladej cerze, który chodził spokojnie po swoim małym uporządkowanym świecie, powtarzając ciągle te same ruchy, jakby stanowiły pajęczą sieć znaną tylko jemu.

Nauczyciel muzyki przemówił. Ale nowością było to, że tym razem wypowiedział imię.

Mila patrzyła, jak na jego wargach pojawia się ono litera po literze. „Pablo”. To potwierdzenie, klucz umożliwiający wejście do tego tajemnego świata. Teraz już wie.

Nauczyciel muzyki ma gościa.

Jeszcze zaledwie dziesięć dni temu Pablo był tylko ośmioletnim dzieckiem o kasztanowych włosach i żywych oczach, które uwielbiało kręcić się po dzielnicy na deskorolce. Pewne było jedno: jeśli Pablo szedł do sklepu na polecenie matki albo babci,

brał deskorolkę. Spędzał całe godziny, jeżdżąc tam i z powrotem po ulicy. Dla sąsiadów, którzy patrzyli, jak przejeżdża pod ich oknami, mały Pablito — jak go wszyscy nazywali — stanowił część krajobrazu.

Być może także dlatego nikt niczego nie zauważył w tamten lutowy ranek w niewielkiej dzielnicy willowej, gdzie wszyscy znali się z imienia, a domy i żywoty mieszkańców były do siebie podobne. Na pustej ulicy pojawiło się zielone volvo combi — nauczyciel muzyki wybrał je zapewne dlatego, że było podobne do wielu innych rodzinnych aut zaparkowanych w wąskich alejkach. Spokój najzwyczajszego sobotniego poranka zakłócił tylko szum sunących powoli po asfalcie kół i jednostajne terkotanie deskorolki, która stopniowo zwiększała szybkość... Trzeba było sześciu długich godzin, aby ktokolwiek zorientował się, że wśród odgłosów tej soboty czegoś brakuje. Terkotania. I że w chłodzie poranka małego Pabla wchłonął skradający się cień, który nie chciał go zwrócić, pozbawiając ulubionej deski.

Deska z czterema kółkami leżała obok uwijających się policjantów, którzy wzięli dzielnicę w posiadanie.

Działo się to zaledwie dziesięć dni temu.

Dla Pabla może być już za późno. Za późno dla jego kruchej dziecięcej psychiki. Za późno, aby z tego złego snu obudził się bez urazów.

Teraz deskorolka znajdowała się w bagażniku auta policjantki razem z innymi przedmiotami, zabawkami, ubraniami. Miła natrafiła na nie w poszukiwaniu drogi, którą należało obrać, a one doprowadziły ją do tej brązowej kryjówki. Do nauczyciela muzyki uczącego w szkole średniej, a w niedzielne poranki grywającego w kościele na organach. Był wiceprezesem towarzystwa muzycznego, które co roku organizowało mały festiwal muzyki Mozarta. Anonimowym i nieśmiałym samotnikiem w okularach, zaczynającym łysieć, o spoconych i miękkich dłoniach.

Miła dobrze mu się przyjrzała. Ponieważ na tym polegał jej talent.

Wstąpiła do policji, mając precyzyjnie określony cel, i po ukończeniu akademii policyjnej poświęciła mu się bez reszty. Nie interesowali jej przestępcy, a tym bardziej prawo. Nie z tego powodu przeczesywała wszelkie zakątki, w których gnieździ się mrok, gdzie bez przeszkód gnije ludzka egzystencja.

Gdy odczytała imię Pabla na ustach człowieka, który go więził, poczuła ukłucie w lewej nodze. Być może spędziła zbyt wiele godzin w samochodzie, czekając na ten znak. A może także z powodu rany na udzie, którą zszyla w paru miejscach.

Opatrzę ją potem, przyrzekła sobie. Potem. Bo formułując tę myśl, Mila postanowiła wejść natychmiast do domu, żeby przełamać urok i położyć kres koszmarowi.

— Funkcjonariusz Mila Vasquez do centrali: zidentyfikowany podejrzany o porwanie małego Pabla Ramosa. Mieszka w brązowym domu pod numerem dwadzieścia siedem przy alei Alberas. Możliwe zagrożenie.

— Przyjąłem. Wysyłamy kilka patroli, zajmie to co najmniej trzydzieści minut.

Za dużo.

Mila nie ma aż tyle czasu. Nie ma go Pablo.

Strach, że będzie musiała rozliczyć się ze słów „okazało się, że jest za późno”, skłonił ją do ruszenia w kierunku domu.

Głos w radiu był już dalekim echem, gdy z pistoletem w rękę, wycelowanym tak, jakby zamierzała strzelić w sam środek ciała przestępcy, rozglądając się czujnie, krótkimi i szybkimi krokami dotarła błyskawicznie do kremowego płotu, który okalał tylko tylną stronę małego domku z ogrodem.

Nad domem górował ogromny biały platan. Jego liście zmieniały kolor w zależności od powiewów wiatru, pokazując chwilkami swoją srebrzystą stronę. Mila podeszła do drewnianej furtki na tyłach. Przywarła do ogrodzenia i zaczęła nasłuchiwać. Od czasu do czasu dochodziły do jej uszu urywki rockowej piosenki, niesione przez wiatr gdzieś z sąsiedztwa. Wyjrzała znad furtki i zobaczyła dobrze utrzymany ogródek z szopą na narzędzia i czerwonym gumowym wężem wijącym się w trawie aż do

spryskiwacza. Plastikowe meble i gazowy grill. Spokój. Drzwi z matową szybą w kolorze różowofioletowym. Miła wyciągnęła rękę nad furtką i delikatnie uniosła obrotową dźwigienkę. Zawiasy skrzypiały, więc uchyliła furtkę tylko na tyle, by wystarczało, żeby wejść do ogródka.

Zamknęła ją za sobą, żeby nikt, wyglądając przez okno, nie zauważył zmiany. Wszystko powinno pozostać tak jak było. Potem ruszyła krokiem, jakiego uczono jej w akademii, uważnie stawiając stopy na trawie — tylko palce, żeby nie zostawić śladów — gotowa skoczyć, gdyby okazało się to konieczne. Po krótkiej chwili dotarła do kuchennych drzwi po stronie, z której nie mógł paść na nie jej cień, w razie gdyby się wychyliła, żeby zajrzeć do wnętrza domu. I tak właśnie zrobiła. Matowe szyby nie pozwalały rozróżnić niczego w środku, ale z kształtu mebli wywnioskowała, że musi to być mała jadalnia. Przesunęła rękę w kierunku klamki, która znajdowała się po przeciwnej stronie drzwi. Chwyciła ją i nacisnęła. Zatrzask odskoczył.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Nauczyciel muzyki musi czuć się pewnie w kryjówce, którą przygotował dla siebie i swego więźnia. Niebawem Miła miała również odkryć dlaczego.

Przy każdym kroku pokryta linoleum podłoga trzeszczała pod jej gumowymi podeszwami. Miła starała się stąpać ostrożnie, potem jednak zsunęła tenisówki i zostawiła je koło jakiegoś mebla. Dotarła boso na korytarz i usłyszała jego głos...

— Potrzebowałbym też jednego opakowania serwetek. I tego środka do mycia naczyń... Tak, właśnie tego... Poza tym proszę mi też przywieźć sześć puszek zupy z kurczaka, cukier, program telewizyjny i kilka paczek papierosów light, tej samej marki co zawsze...

Głos dochodził z saloniku. Nauczyciel muzyki robi zakupy przez telefon. Zbyt zajęty, żeby wyjść z domu? Czy też nie chce się oddalać, woli zostać, żeby móc kontrolować każdy ruch swojego więźnia?

— Tak, aleja Alberas numer dwadzieścia siedem, dziękuję.

Proszę zabrać resztę z pięćdziesięciu, ponieważ mam w domu tylko takie banknoty.

Mila ruszyła w kierunku, z którego dochodził głos. Gdy mijiała lustro, zobaczyła swoje zniekształcone odbicie. Takie, jakie spotyka się w wesołym miasteczku. Dotarłszy do drzwi pokoju, wyprostowała ręce, w których trzymała pistolet, nabrała powietrza i przekroczyła próg. Spodziewała się, że go zaskoczy, może nawet odwróconego plecami, jeszcze ze słuchawką w rękę i obok okna. Stanowiłby doskonały cel.

Zawiodła się jednak.

Salonik był pusty, a słuchawka leżała na widelkach.

Zrozumiała, że nikt z tego pokoju nie telefonował, gdy poczuła chłodną lufę pistoletu, która niczym pocałunek dotknęła jej karku.

Stał tuż za nią.

Zwymyślała się w duchu od idiotek. Nauczyciel muzyki dobrze urządził swoją norę. Skrzypienie furtki do ogrodu i trzeszczenie podłogi pokrytej linoleum to były sygnały informujące o wtargnięciu nieproszonych gości. Potem udawana rozmowa telefoniczna jako przynęta zwabiająca ofiarę. Deformujące lustro, żeby stanąć niezauważenie za jej plecami. Wszystko to składało się na pułapkę.

Poczuła tylko, że wyciąga rękę, by odebrać jej pistolet. Pozwoliła się rozbroić.

— Możesz mnie zastrzelić, ale nie masz już wyjścia. Niedługo będą tu moi koledzy. Nie wygrzebiesz się z tego, pozostaje ci tylko się poddać.

Mężczyzna nie odpowiedział. Miała wrażenie, że widzi go kątem oka. Czy to możliwe, żeby na jego twarzy pojawił się uśmiech?

Cofnął się. Lufa pistoletu oderwała się od Mili, ale ona czuła jeszcze magnetyczne przyciąganie między jej głową i pociskiem w lufie z tłumikiem. Mężczyzna obszedł ją i znalazł się wreszcie w polu jej widzenia. Na dłuższą chwilę zatopił w niej wzrok, ale tak, jakby na nią nie patrzył. W głębi jego oczu było coś, co wydało się Mili przedsonkiem mrocznej otchłani.

Bez najmniejszej obawy odwrócił się do niej plecami. Mila patrzyła, jak pewnym krokiem idzie do stojącego przy ścianie fortepianu. Doszedłszy do instrumentu, usiadł na stołku i zaczął przyglądać się klawiaturze. Oba pistolety położył po lewej stronie.

Uniósł ręce, po czym opuścił je na klawisze.

W pokoju zabrzmiał nokturn Chopina. Mila odetchnęła głęboko kilka razy, czując, jak napięcie rozchodzi się po ścięgnach i mięśniach jej szyi. Palce nauczyciela muzyki z wdziękiem i lekkością ślizgały się po klawiaturze. Łagodność dźwięków sprawiła, że Mila słuchała jak zahipnotyzowana.

Zmusiła się, by odzyskać jasność myśli, i zaczęła się cofać, ślizgając się na bosych piętach, aż znowu znalazła się w korytarzu. Zacerpnęła powietrza, próbując zwolnić uderzenia serca. A potem zaczęła prędko przeszukiwać pomieszczenia, ścigana melodią nokturnu: gabinet, łazienka, spiżarnia...

Aż do zamkniętych drzwi.

Naparła na nie ramieniem. Rana na udzie bolała, więc użyła tylko rąk. Drewniane drzwi ustąpiły.

Słabe światło korytarza wdarło się do pokoju, którego okna wyglądały na zamurowane. Mila śledziła w mroku świetlną smugę, aż napotkała załzawione oczy, które wpatrywały się w nią jak skamieniałe. Pablito był tu, siedział na łóżku, przyciskając kolana do chudej klatki piersiowej. Miał na sobie tylko slipki i podkoszulek. Próbował zrozumieć, czy powinien się bać i czy Mila nie jest dalszym ciągiem jego złego snu. A ona powiedziała tylko to, co mówiła zawsze, gdy odnajdowała dziecko:

— Musimy stąd wyjść.

Chłopiec kiwnął głową, wyciągnął ręce i przywarł do niej. Mila słuchała muzyki, która wciąż płynęła i ją ponaglała. Obawiała się, że utwór nie będzie trwał wystarczająco długo i że nie zdąży opuścić domu. Znowu ogarnął ją niepokój. Zaryzykowała swoje życie i życie małego więźnia. I teraz się bała. Że znowu popełni błąd. Że wpadnie przy ostatnim kroku, który pozwoliłby jej wydostać się z tej przeklętej nory. Lub odkryje, że z tego

domu nie da się wyjść, że zamknie się nad nią jak błotna skorupa, więżąc na zawsze.

A jednak drzwi się otworzyły i znaleźli się na dworze, w bladym, ale uspokajającym świetle dnia.

Gdy jej serce zaczęło bić wolniej, gdy mogła już zapomnieć o pistolecie, który zostawiła w środku, i przytulić Pabla, uwalniając go od wszelkiego strachu, dziecko nachyliło się do jej ucha i zapytało szeptem:

— A ona nie pójdzie z nami?

Mila zatrzymała się, jakby nagle poczuła na barkach większy ciężar. Zachwiała się, ale nie straciła równowagi.

— Gdzie ona jest? — zapytała, nie wiedząc dlaczego, jedynie pod naciskiem przerażającej świadomości.

Chłopiec wskazał palcem pierwsze piętro. Dom spoglądał na nich oknami i śmiał się drwiąco tymi samymi otwartymi drzwiami, które dopiero co pozwoliły im wyjść na dwór.

W tym momencie strach zupełnie ją opuścił. Mila pokonała ostatnie metry, jakie dzieliły ją od auta. Posadziła małego Pabla na tylnym siedzeniu i przyrzekła mu uroczyście:

— Zaraz wracam.

A potem zawróciła, aby zniknąć we wnętrzu domu.



Staneła u stóp schodów. Popatrzyła do góry, nie wiedząc, co tam znajdzie. Zaczęła wchodzić, trzymając się poręczy. Także tej wyprawie towarzyszyły dźwięki muzyki Chopina. Stopy stawały na stopniach, dłonie przylepiały się do poręczy, która przy każdym kroku Mili sprawiała wrażenie, jakby chciała ją powstrzymać.

Nagle muzyka się urwała.

Mila przystanąła, nasłuchując. Rozległ się wystrzał, a potem głuchy odgłos upadku i chaotyczne dźwięki fortepianu, bo nauczyciel muzyki osunął się na klawiaturę. Mila wbiegła na piętro. Nie mogła mieć pewności, że nie chodzi o nowy podstęp. Schody zakręcały, a podest wychodził na wąski korytarz pokryty grubą wykładziną. W głębi widać było okno, a przed nim ludzką

sylwetkę; krucha i szczupła odcinała się pod światło: stopy wspierały się na stołku, a szyja i ręce wyciągały w kierunku sznurka zwisającego z sufitu. Mila dojrzała ją w chwili, gdy próbowała włożyć głowę w pętlę, i krzyknęła. Dziewczynka także ją zobaczyła i próbowała działać szybciej. Ponieważ on tak jej powiedział i tego ją nauczył.

„Jeżeli oni przyjdą, musisz odebrać sobie życie”.

„Oni” to byli inni ludzie, zewnętrzny świat, ci, którzy niczego nie rozumieją i nigdy nie wybaczą.

Mila rzuciła się rozpaczliwie w stronę dziewczynki, aby ją powstrzymać. Im bliżej była, tym bardziej wydawało jej się, że się spóźnia.

Wiele lat temu, prowadząc inne życie, ta dziewczynka była dzieckiem.

Mila doskonale pamiętała jej fotografię. Przystudiowała ją dokładnie rys po rysie, analizując w myśli każde załamanie, każdą zmarszczkę na jej twarzy, katalogując i notując każdy znak szczególny, nawet najmniejszą plamkę na skórze.

I oczy. W żywym niebieskim kolorze. Zdolne do przechowania nienaruszonego błysku flesza. Oczy dziesięcioletniej dziewczynki, Elizy Gomes. Zdjęcie zrobił jej ojciec. Uchwycił ją w święta, gdy zamierzała otworzyć prezent i się tego nie spodziewała. Mila wyobraziła sobie tę scenę: ojca, który zawołał, żeby się odwróciła, i niespodziewanie pstryknął jej zdjęcie. I Elizę. Odwróciła się do niego i nie zdążyła okazać zaskoczenia. W wyrazie jej twarzy została unieśmiertelniona chwila, coś, czego nie można dostrzec gołym okiem. Cudowne narodziny uśmiechu, nim zagości na ustach albo rozjaśni spojrzenie niczym rodząca się gwiazda.

Dlatego policjantka nie zdziwiła się, gdy rodzice Elizy Gomes dali jej właśnie tę fotografię. Nie było to z pewnością najlepsze zdjęcie, ponieważ Eliza miała na nim nienaturalną minę i z tego powodu byłoby prawie bezużyteczne, gdyby chciało się wydedukować z niego zmiany, jakie mogły pojawić się na jej twarzy z biegiem czasu. Inni koledzy prowadzący śledztwo skarżyli się na to, ale dla Mili nie miało to znaczenia, ponieważ w tym

zdjęciu dostrzegła coś, jakąś energię. I była to twarz, której mieli szukać. Nie jedna z wielu twarzy, jedna z wielu dziewczynek, ale właśnie ta dziewczynka, z tym światłem w oczach. Oczywiście, jeśli ktoś nie zdołał go zgasić...

Mila złapała ją w ostatniej chwili, obejmując jej nogi, zanim zdążyła zawisnąć całym ciężarem na sznurze. Dziewczynka kopnęła, zaczęła się miotać, próbowała krzyknąć. Do chwili, gdy Mila zwróciła się do niej po imieniu.

— Elizo — powiedziała łagodnie.

I ona przypomniała sobie, kim jest.

Zupełnie o tym zapomniała. Pozbawiły ją tej świadomości lata uwięzienia, ujmując po kawałku każdego dnia. Aż w końcu doszła do przekonania, że ten człowiek jest jej rodziną, a reszta świata o niej zapomniała. I reszta świata nie zrobi nic, żeby ją uratować.

Zdumiona Eliza spojrzała Mili w oczy. Uspokoili się i pozwoliła się uratować.